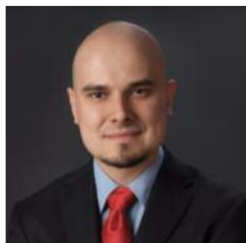


W co ostatecznie gramy?



MICHAŁ KUŹ

Stały współpracownik Nowej Konfederacji

Ludzkość jako całość nie jest grupą, która może bezpośrednio tworzyć zobowiązania moralne. Zawsze będą to robić mniejsze lub większe podgrupy. Dlatego wszystkie moralne zadania, obowiązki i postulaty muszą być pojmowane z perspektywy konkretnej społeczności w konkretnym czasie

Poziom debaty wokół kwestii takich jak gospodarcza globalizacja czy kryzys imigracyjny jest obecnie, delikatnie mówiąc, niezadowolający. A mówiąc wprost, ociera się po obu stronach sporu o moralny nihilizm. Dotyczy to zarówno Polski, jak i świata, przy czym Polska często staje się światowym już symbolem dla lokalistycznej alternatywnej prawicy. Jedna strona uderza zwykle na alarm, straszy totalitaryzmem i wojną. Druga mówi o starciu cywilizacji, chwali wrzucone na Twittera zdjęcia monoetnicznych Polaków jadących metrem lub też rozwodzi się nad słusznym gniewem premier Beaty Szydło. Wydaje się, że obu obozom coraz bardziej przydałyby się odrobina filozoficznej szczerości.

Niepewność i masoni

Teorie spiskowe, coraz bardziej powszechne i szalone, rodzą się bowiem z niepewności co do tego w co właściwie gramy na poziomie ostatecznych celów wielkiego trwającego od końca wieku piętnastego

ruchu intelektualnego, który powszechnie nazywamy modernizacją. Demoniczny George Soros, Hillary Clinton jako robot, Angela Merkel jako kryptomuzułmanka, Macron jak iluminata z grupy Bilderberg. Masy nie wiedzą tak naprawdę, w co grają globalistyczne elity, więc dopowiadają sobie resztę na swój sposób. Oczywiście nadal głosują często na globalistów, jednak wybierają Macrona i Ruttego raczej jako mniejsze zło niż w uznaniu ich spójnej wizji politycznej.

Globalizm może oczywiście odtrąbić sukces, który będzie tym większy, jeśli w Anglii przegra Theresa May, w Niemczech wygra Angela Merkel, a w USA dojdzie do impeachmentu Donalda Trumpa. Można stwierdzić, że zwolennicy globalizmu nie muszą się ludowi z niczego tłumaczyć. Prawda jest jednak taka, że napięcia, które doprowadziły do niedawnej rewolty, wcale nie zniknęły. Nadal bowiem nie wiemy, gdzie zmierzamy.

Co gorsza, wbrew teoriom spiskowym wizji celu gry w późną nowoczesność zdają

się nie widzieć również proglobalistyczne elity. Podczas kolejnych zjazdów i szczytów rzecznicy globalizmu snują się po prostu smętnie wśród coraz bardziej obcych dla nich rekwizytów. Tracą już częściowo poczucie, że narody są czymś realnym, a mimo to wciąż muszą wygrywać wybory w państwach narodowych. Tracą poczucie, że czymś realnym jest pieniądz, a mimo to muszą zarządzać bankami. Nie mają wreszcie poczucia, że w kwestiach fundamentalnych istnieje obiektywna prawda, a mimo to muszą piętnować postprawdę u swoich politycznych adwersarzy.

Naukowy nihilizm

Paradoksalnie, właśnie podczas obecnego kryzysu światowego przywództwa nauki szczegółowe dostarczają coraz doskonalszej wiedzy na temat tego, jak działa ludzki umysł, czym jest dla niego charyzma, tożsamość i poczucie wspólnoty. Znamy teorię „hard” i „softpower”. Wiemy o tym, jak, cytując Jonathana Heidta, moralność łączy i zaślepia. Wiemy o roli neuroprzekazników, takich jak serotonina, która nagradza nas za społeczny konformizm oraz dopamina i noradrenalina, które wzmagają nerwową reakcję na wykluczenie ze wspólnoty. Wiemy też o neuronach lustrzanych, które regulują empatię.

Wiemy, lecz co to nam konkretnie daje w dziedzinie życia społecznego? Dość symptomatycznym przykładem, jak bardzo pusta jest nauka o społeczeństwie bez pewnej normatywnej wizji, dostarcza pochodzący z „Gazety Wyborczej” tekst pod tytułem *Moralność to atawizm* (5.10.2016). Z faktu, że odruchy moralne i stadność są biologicznie uwarunkowane autorka zdaje się bowiem wyciągać wniosek, że należy w imię racjonalności naiwną moralność przewyciężać. Wszak pojęcie

atawizmu zakłada coś na niższym poziomie postępu i rozwoju. Tylko przewyciężyć w imię czego? Do czego nas postęp od atawizmu do oświecenia prowadzi? Tu autorka tekstu nie ma niestety nic nowego powiedzenia, kończy artykuł pełen odniesień do najnowszych badań naukowych następującą konkluzją – pytaniem:

„Czy żyjąc w świecie, w którym sztuczna inteligencja pozwala nam zrobić wszystko, rzeczywiście możemy przekraczać wszelkie granice? Kim się stajemy, gdy wszystko można?”

Pytanie i cały tekst sugeruje odpowiedź i wraca w gruncie rzeczy do sformułowanej jeszcze pod koniec osiemnastego stulecia wizji Condorceta. Wizji w nieskończoność samodoskonalącej się w pełni racjonalnej jednostki, która z czasem staje się nieśmiertelna i na swój, nieco gnostycki sposób, boska.

By wyjść poza pat pomiędzy globalizmem i lokalistyczną kontrą pora już zaakceptować rzeczywistość taką, jaka jest

Taka jednostka nie potrzebuje też polityki, która z mocy jeszcze arystotelesowskiej definicji potwierdzonej przez nowoczesną naukę, nie jest w pełni racjonalna. Opiera się częściowo na charyzmie, zaspokajaniu podświadomych potrzeb, budowaniu tożsamości, symbolach i wierzeniach. Taka jednostka potrzebuje jednak tylko dobrotliwego administrowania. W momencie, kiedy ono zaistnieje, historia się kończy.

Problem ontologiczny z ową jednostką jest jednak dość prosty: jej zwyczajnie nie ma i nie było. Nacjonalizm można zawsze zastąpić, na przykład plemiennością a plemiennosc choćby teokracją lub na odwrót. Nie można jednak zlikwidować polityki i moralności w ogóle, bo ona się ludziom przydawała i przydaje, stąd też jej ewolucyjny sukces, jeśli już mamy się teorią ewolucji posługiwać. Założenie, że

**Globaliści nie mają
poczucia, że w kwestiach
fundamentalnych istnieje
obiektywna prawda, a mimo
to muszą piętnować
postprawdę u swoich
politycznych adwersarzy**

kochające całą ludzkość jednostki w typie Matki Teresy, czy też zupełni socjopaci jak Ted Bundy, są lepiej przystosowani niż reszta ludzi, raczej się nie broni. Mit o tym, że gdzieś pod warstwami trybalizmów oraz narzuconych moralności i tożsamości tkwi jakiś prawdziwy, wolny i jednostkowy człowiek, jest zaś niczym niezasadnionym zabobonem. Wywodzi się jeszcze z koncepcji szlachetnego dzikusa spopularyzowanej przez Rousseau. Jeśli jednak zawierzyć teorii ewolucji, to mówi ona coś wręcz przeciwnego. Nawet mały człekokształtne, które mają przypominać istoty, z jakich wyewoluowali ludzie, wykazują zachowania czysto polityczne, co świetnie opisał wybitny prymatolog Frans de Waal.

Wydaje się więc, że nauki polityczne oraz społeczne, a za nimi i społeczna oraz polityczna praktyka, zderzają się obecnie z trudną rzeczywistością, podobnie jak zderzyła się z nią już klasyczna ekonomia. Daniel Kahneman, twórca ekonomii behawioralnej, już wiele lat temu zważył jednak, że klasyczne teorie ekonomiczne, które opisują zachowania ludzi przy pomocy prostej funkcji spodziewanej użyteczności są błędne. Opisują pewne bowiem hipotetyczne podmioty, a nie realnych i nieco irracjonalnych ludzi. Stąd w opartym na takich teoriach systemie gospodarczym z czasem kumulują się sprzeczności.

Łyse łby i lepsi ludzie

Alternatywą dla korekty oświeceniowych zabobonów jest zaś swoisty gnostycki mesjanizm, oczekiwanie na to, aż pojawi się w końcu przynajmniej wąska grupa oświeconych, wybitnych i ponadmoralnych ludzi, którzy poprowadzą resztę ludzkości ku przyszłości bez polityki, a zatem i bez przemocy, nawet tej symbolicznej. Wiele sekt, partii i pomniejszych grup ideologicznych już na takich oczekiwało. Przykłady można mnożyć, od opisu wierzeń manichejskich pióra św. Augustyna aż po rewolucyjną awangardę Lenina. Zwykle te oczekiwania rozbijały się o coś, co opisuje między innymi Dostojewski. Pisarz ten każe jednemu z bohaterów *Braci Karamazow* stwierdzić: „Im bardziej Kocham ludzkość w ogóle, tym mniej Kocham ludzi w szczególności, czyli z osobna, jako poszczególne osoby. (...) W razie nagłej potrzeby może faktycznie dałbym się za ludzi ukrzyżować, a tymczasem wiem z doświadczenia, że nawet dwóch dni nie jestem w stanie przemieszkać z kimś w tym samym pokoju”.

Być może, by wyjść poza pat pomiędzy globalizmem i lokalistyczną kontrą pora już zaakceptować rzeczywistość taką, jak jest. Ludzkość jako całość nie jest i nigdy nie będzie grupą, która może bezpośrednio tworzyć zobowiązania moralne. Zawsze będą to robić mniejsze lub większe podgrupy, dzięki którym ludzie się łączą i dzielą. Dlatego wszystkie moralne zadania, obowiązki i postulaty muszą być pojmowane z perspektywy konkretnej społeczności w konkretnym czasie. Grupa ta w kontekście swojej moralności zadaje też trudne pytania. Elity zaś muszą umieć na te pytania odpowiadać.

Na przykład solidarność z imigrantami oraz uchodźcami owszem, ale w jakim wymiarze? Gdzie jest ów legalistyczno-filozoficzny standard, który ustawiałby nam orientacyjną granicę pomiędzy *wystarczająco a za dużo*? Wypowiedź Anny Pamuły, reporterki, która na antenie TVN24 stwierdziła, że warto jest przyjąć siedem tysięcy uchodźców za cenę życia dziesięciu własnych obywateli, brzmi nieco groteskowo. Ale pani Pamuła chyba jako jedyna ze strony zwolenników przyjęcia przybyszów mówi o jakimś konkretnym maksymalnym ryzyku, które jest dla niej do zaakceptowania. Śmiem twierdzić, że to pewien postęp w porównaniu z mglis-

tymi ogólnikami, którymi w tym kontekście posługuje się wielu innych uczestników sporu.

Stosując hasłową humanitarną regułę solidarności ogólnoludzkiej można bowiem równie dobrze uzasadnić przyjęcie kilku tysięcy, jak i kilku milionów ludzi, włącznie z wprowadzeniem automatycznego mechanizmu kwotowego w ramach UE. Zupełny brak standardów rodzi niepewność. Niepewność w społeczeństwie prowadzi zaś do nadczonej reakcji obronnej, wręcz anafilaktycznej („Nie przyjmujemy absolutnie nikogo!”). Reakcja ta jest zaś w Polsce dodatkowo spotęgowana faktem, że wciąż nie do końca ufamy swojemu państwu i po licznych przesiedleniach oraz zmianach granic kraju sami nie zawsze czujemy się tam, gdzie mieszkamy do końca „u siebie”. Oczywiście tym, którzy obracają się tylko w kręgach progresywnych elit może nie przyjść na myśl, że w „łysych łbach”, jak określiła ONR-owców Róża Thun, może panować autentyczny moralny i filozoficzny mętlik, a nie jedynie żądza mordy. Są jednak przyczyny, by sądzić, że tak jest w istocie i że przedstawienie konkretnej wykładni solidarności może w rozmowie z tymi łbami pomóc bardziej niż ciskanie w nie ogryzkami idei oświeceniowych.